

Wakacje z mułłami – cz. 1

12 października 2007

Gdyby ktoś zapytał mnie, gdzie chciałabym pojechać aby zobaczyć coś naprawdę ciekawego, Persja zawsze byłaby na czele listy niezrealizowanych marzeń. Wreszcie w tym roku podjęliśmy decyzję. Pojedziemy do Iranu.

000! that's interesting – powiedziała moja szefowa i był to chyba najniewinniejszy z komentarzy, które przyszło nam usłyszeć. Nie boicie się? Przecież tam jest tak niebezpiecznie, dziwiła się pani z biura. Bliżsi znajomi pukali się już otwarcie w czoło.

– Czy wy powariowaliście? Przecież to bardzo niebezpieczna część świata, a zwłaszcza teraz podczas wojny z Irakiem. Chyba zdajecie sobie sprawę, że mogą was uprowadzić, zamknąć, zestrzelić samolot... Przez sam fakt, że Australia wysłała wojska do Iraku jesteście na czarnej liście w tamtych stronach.

No i co z tego, ze śmiercią można spotkać się codziennie, nawet nie wyjeżdżając z miasta – odpowiadaliśmy z nadzieją, że tak naprawdę nic takiego nam się nie zdarzy. Byliśmy już przecież w różnych zapadłych kątach świata, doświadczenia podróżniczego mamy sporo, dlaczego nie przymierzyć się właśnie do Iranu.

Po podjęciu wiążącej decyzji zaczęła się mrówcza praca. Przede wszystkim musieliśmy wymienić paszporty na nowe, bo z granicznymi stemplami Izraela, gdzie byliśmy kilka lat temu, nie było mowy o dostaniu irańskiej wizy.

Potem zaczęło się wertowanie przewodników, serfowanie internetu i czytanie wszystkich dostępnych książek o Iranie. Pożyczyliśmy z biblioteki materiały do podstawowego kursu perskiego, łącznie z nagraniami powszechnie używanych zwrotów, kupiliśmy perskie rozmówki i wykuliśmy pisownię liczb od zera

do stu i fonetyczne ich brzmienie.

Z doświadczenia wiemy, że im lepiej zrobi się "zadanie domowe" przed wyjazdem, tym lżejsza i przyjemniejsza jest podróż i mniejszy szok kulturowy w obcym kraju, a co dopiero takim, gdzie wszystkiego można się spodziewać.

Nasz rozkład lotów był skomplikowany: z Perth do Szirazu, z Teheranu do Jerewanu, z Jerewanu do Warszawy, z Warszawy do Perth i nasza agencja turystyczna za bilety na taka trasę zażyczyła sobie astronomiczną sumę. Aby obniżyć koszty Krzysiek wziął więc sprawę w swoje ręce, nawiązał internetowy kontakt z biurami podróży w Dubai, Iranie, Armenii i Polsce i, po upewnieniu się, że będą mieli dla nas bilety na poszczególne odcinki, wykupił z góry tylko przelot do Dubai i z powrotem. W ten sposób udało się obniżyć koszty przelotu o jedną trzecią, za cenę pewnego ryzyka wynikającego z konieczności kupowania biletów na miejscu za miejscowe ceny, i latania czwartorzędnymi liniami. Wykupiliśmy odpowiednie ubezpieczenie podróżnicze na różne nieprzewidziane okazje, złożyliśmy wizytę dentyście i zaopatrzyliśmy się w podstawowe leki.

Pakowanie naszych walizko-plecaków to był już ostatni etap przygotowań i wcale nie najłatwiejszy, bo jak tu zmieścić do małej walizki po kilka par butów, ubrania na wszystkie możliwe rodzaje pogody i towarzyskie okoliczności, przybory toaletowe, przewodniki, książki, prezenty, dwa aparaty fotograficzne i kilkanaście filmów do slajdów i zdjęć. Zwykle podróżujemy "lekko" ale jesteśmy już w takim wieku, że jedna para dżinsów, dwie podkoszulki i zmiętolony sweter nie wystarczają i nie pasują. Upchnęliśmy po mniej więcej 17 kg na osobę i byliśmy gotowi do podróży.

Trochę żał wyjeżdżać na trzy miesiące kiedy człowiek zasiedzi się w domu. W samolocie wszystkie niepokoje jednakże znikły i poczuliśmy się zupełnie wakacyjnie. Niebo było bez chmur, mogliśmy więc podziwiać krajobrazy. Z wysokości dziesięciu

kilometrów wewnątrz Australii to bezludzie pocięte prastarymi, wyschniętymi korytami rzek i strumieni. Jedyne ślady aktywności człowieka to szlaki geodezyjne, ciągnące się prosto jak od linijki całymi kilometrami i dzielące dziewiczy busz na kilkudziesięciokilometrowe prostokąty i kwadraty.

Gładki pięciogodzinny lot do Brunei na Borneo. W samolocie dostaliśmy najlepsze jedzenie odkąd nowe LOT-owskie Boeingi zaczęły latać na liniach azjatyckich i na krótko naprawdę dbano w nich o pasażerów. Lotnisko w Bandar Seri Bagawan małe, czyste i spokojne. Po dwóch godzinach czekania następny etap podróży, ośmiogodzinny lot do Dubaj – (Emiraty Arabskie), gdzie dotarliśmy o pierwszej trzydziści w nocy. Linie lotnicze Royal Brunei które nas tam zawiozły różnią się znacznie od innych, którymi lataliśmy wcześniej. Stewardesy noszą białe toczki i woale nawiązujące do tradycyjnego stroju muzułmanek, w samolotach nie podają alkoholu, lot zaczyna się od modlitwy, a na monitorach coraz to wyświetlają Kiblah, strzałkę pokazującą kierunek do Mekki oraz odległość od niej w kilometrach i milach.

DUBAJ

Hotel w Dubaj mieliśmy zarezerwowany, łącznie z transportem z lotniska. Po odbębnienu formalności paszportowych i odebraniu bagaży zaczęliśmy sprawdzać plansze z nazwami hoteli i nazwiskami gości którymi wymachiwał tłum przedstawicieli wszystkich chyba lepszych dubajskich hoteli, zgromadzony wzdłuż przejścia na zewnątrz. Przeszliśmy się tą plakatową aleją kilkakrotnie ale na żadnej tablicy nas nie było. Po usilnym rozpytywaniu, ktoś w końcu wskazał nam jakiegoś faceta na chodniku na zewnątrz. Nie bardzo mógł sobie poradzić z naszymi nazwiskami i stwierdził, że na jego liście nas nie ma. Żeby było weselej, dodał że w mieście są dwa hotele o tej samej nazwie. Dopiero kiedy pokazaliśmy mu kwit z hotelu pogrzebał w swojej teczce i oczywiście nas odnalazł. Dziwne to, bo byliśmy jedynymi pasażerami na których czekał. Hotel był trzygwiazdkowy, dostaliśmy ładny pokój z taką sobie łazienką.

Jedynym mankamentem był fakt, że na dole do rana łupała dyskoteka, co niosło się i na wyższe piętra. Następnym dniem tygodnia był Piątek, u Arabów święto odpowiadające chrześcijańskiej niedzieli. Część sklepów i wszystkie biura od rana były pozamykane, tak że gdy poszliśmy do biura podróży odebrać nasze bilety do Sziraz spotkała nas przykra niespodzianka – zamknięte na głucho drzwi. Z lekką paniką wróciliśmy do hotelu, by spróbować dodzwonić się do kogoś na dyżurze, ale okazało się to niepotrzebne, bo jeden z pracowników poświęcił swój wolny dzień, by przywieźć nam bilety. Resztę dnia spędziliśmy dość miło, zwiedzając miasto i przesiadując na nabrzeżu rzeki. Rzeka zwana Dubai Creek trochę przypomina Czaopraya w Bangkoku, bo podobnie jak tamta jest bardzo zatłoczona statkami, barkami, a głównie małymi łódkami z dymiącymi motorami, przewożącymi we wszystkie możliwe strony setki Pakistańczyków. Są oni główną siłą roboczą i dominują w tłumie na ulicach. Emiraty Arabskie to zamożny kraj, w którym miejscowi Arabowie zajmują stanowiska kierownicze, nie ruszają się z klimatyzowanych biur, a jeśli już, to na pewno nie chodzą piechotą. Na ulicach nie widać ich prawie wcale, a cały ten kłębiący się dokoła ciemnoskóry tłum, mężczyźni w śnieżnobiałych koszulach, obwieszane złotem kobiety w kolorowych sari, składa się głównie z Azjatów i nielicznych Europejczyków, głównie Rosjan. Dubai to barwne i tętniące życiem skrzyżowanie dróg, gdzie Wschód, Bliski i Daleki, miesza się z Zachodem, Europa z Azją i Afryką. Miasto, czyste i nowoczesne, z doskonałą infrastrukturą, to jeden ogromny zatłoczony bazar, pełen wielkich międzynarodowych firm, supermarketów, banków i hoteli, ale też i niewielkich sklepów, barów i podrzędnych hotelików. Można tu kupić chyba wszystko co ktokolwiek gdziekolwiek na świecie wyprodukował, czy wyhodował. W architekturze dominują super nowoczesne wysokościowce, stal, szkło i beton. Wśród wieżowców rozciągają się dzielnice willowe, pełne zamożnych rezydencji wśród palm i ogrodów. W większość budynków wkomponowano tradycyjne arabskie detale, jak łuki, kraty i arabeski, z różnym skutkiem. Tu i ówdzie sterczą minarety meczetów. Pięć razy na dzień powietrze

aż drży od modlitewnych śpiewów muezinów.

Nabrzeże rzeki to jeden wielki, ciągnący się kilometrami park z ławeczkami do siedzenia w przyjemnym cieniu i tam też spędziliśmy większą część dnia, jako że temperatura sięgała ponad trzydzieści stopni.

Po południu zwiedziliśmy bardzo interesujące muzeum lokalnej historii, zwyczajów i tradycji, znajdujące się w starym glinianym forcie w pobliżu ujścia rzeki do morza. Bardzo ciekawe montaż scenek z dawnego życia codziennego Dubajskich Arabów, z wykorzystaniem naturalnej wielkości woskowych figur odzianych w tradycyjne szaty. Życie Beduinów na pustyni było dawniej twarde i ubogie, szczególnie dla kobiet, które mimo straszliwego upału musiały być zawinięte w czerń od stóp do głów, a na twarzy nosić misternie wyciętą skórzaną maseczkę odsłaniającą tylko usta i oczy.

Przez te parę godzin spędzonych na wolnym powietrzu okropnie się spiekliśmy, zwłaszcza nosy. Dosyć nas to zadziwiło bo przecież przyjechaliśmy z australijskiego lata i w domu słońce nigdy nas tak nie spaliło. Czym prędzej kupiliśmy „sunblock” i postanowiliśmy regularnie go stosować.

Koniec części pierwszej

Autorzy: Teresa & Krzysztof

Źródło: [Alternatywa](#)